

Adam Wiaryga-Minieski.

# JAK KRUKI.

Powieść z dni ostatnich.

16

Po twarzy panny Ożarskiej przemknął błysk radości.

— Jaka lekcję?

— Moja kuzynka Bojanowiczowa, wiesz, ta żona inżyniera — Bojanowicz w istocie zajmował posadę mechanika w fabryce wyrobów metalowych, nigdy zaś nie posiadał inżynierskiego dyplomu — potrzebuje korepetycy dla swojej córki z trzeciej pospolitej.

— Oczywiście! Dziękuję ci bardzo. Ale że ty sama nie wzięłaś tej lekcji?...

Frania zakolysała się na krześle, podając napróżd swój bujny biust.

— Ja? Skądże! Ani mi się nawet śniło! Dość mam belferki!

— Wystarczy ci twoja pensja w Towarzystwie Ubezpieczeń? — Julia z pewnem zdziwieniem przesunęła wzrokiem po jedwabnej bluzce, modnej spódnicy, i lakierowanych bu-bikach.

— Ja już nie jestem w „Ubezpieczeniach“.

— Tak? a chwaliłaś sobie tę posadę.

— Początkowo było wcale znośnie, ale potem dostaliśmy innego szefa Wydziału, starego mamuta, dziadka kościanego. Ten był niemożliwy!... Nudziasz, pedant!... Można się było przy nim zameczyć robotą.

— A ty się nie lubisz zameczać.

— No, chyba. Wcale nie mam ochoty zżółknąć jak cytryna i wyschnąć jak wiór. Przyszło więc między nami do scysyi, wypowiedziałam staremu rzędzie moje zdanie, no i rozstaliśmy się... Nie żałuję tego wcale. Dostałam zaraz daleko lepszą posadę.

— Gdzie?

Frania wymieniła jedną z licznych, podczas wojny powstałych „Centrali“.

— I dobrze ci tam płacą?

Posłyszawszy odpowiedź panna Ożarska zastanowiła się. Cyfra nie była zbyt wysoką i stanowczo suknia, którą Frania miała na sobie, kosztowała stanowczo więcej niż wynosiła jej miesięczna pensja.

Grabkówna z zawodu była nauczycielką ludową, to znaczy skończyła seminaryum nauczycielskie, do którego posłali ją rodzice, ludzie mało inteligentni i mało krytyczni, „bo to dla panny przyzwoicie, póki za mąż nie pójdzie, nauka krótką i posada pewna“.

Frania do nauczycielstwa nie tylko nie miała zamiłowania, ale niecierpiała poprostu „belferki“. Znosić też nie mogła wsi i chłopów, a właśnie w wiejskiej szkole przyszło jej rozpocząć praktykę nauczycielską.

Na pierwszej tej posadzie — miała wtedy lat dwadzieścia — oświadczył się jej kolega — nauczyciel, chłopak cichy, dobry i pracowity. Wyśmiała go.

— Także mi karyera być panią nauczycielową na zapadłej wsi!... To nie dla mnie — odpowiadała tym, którzy ją namawiali — żebym się tylko mogła wyrwać z tej dziury!...

Koło tego „wyrwania się“ krzątała się pilnie. W najładniejszej bluzce, w najszykowniejszym kapeluszu, z całym zasobem najmielszych uśmiechów, zalotnych spojrzeń, gładkich słówek składała często wizyty inspektorowi okręgowemu w jego kancelaryi.

Ostatecznie udało się jej wymódz, że ją przeniesiono ze wsi do miasteczka. Ale to była znowu „dziura“. Żydowska, brudna, nie wybrukowana i co najważniejsze, nudna. Ambitna panna Frania nie mogła tutaj mieć żadnych absolutnie „widoków“.

Wkrótce też rozpoczęła nową seryę starań o zmianę miejsca pobytu. Dostała się później do większego powiatowego miasta. Tam podobno były jakieś „widoki“ nawet bardzo pojętne, ale cóż kiedy się na samych „widokach“ skończyło. Ten zawód rozgoryczył prawdopodobnie młodą nauczycielkę do całego otoczenia, bo podjęła znowu zabiegi o przeniesienie.

Powtarzało się to jeszcze kilka razy podczas prawie dziesięcioletniej kariery nauczycielskiej. Chroniczną wadą wszystkich posad była ta nieodparta konieczność, że wszędzie trzeba było uczyć „tępe, wrzaskliwe, nieznośne bębny“.

A przytem „widoki“ małżeńskie, odpowiednie do wymagań panny Frani, pojawiały się wprawdzie kilkakrotnie, ale znikaly wkrótce jak zwo-dnicze „fatamorgana“, zawsze coś tam weszło w drogę i panna Frania pozostawała nie sama wprawdzie, ale wśród grona mniej lub więcej natarczywych wielbicieli, których jej nie brakowało nigdy... Miewała ich po kilku lub nawet kilkunastu „pod wachlarza frzonkiem“ ale z nich „żaden nie chciał być małżonkiem“.

Nie traciła jednak ani dobrego humoru, ani pewności siebie, ani swej świeżej, różowej cery.

Prze samą wojną znalazła się nareszcie, tak jak sobie tego życzyła zawsze, w dużem mieście. Przed grożącą inwazją rosyjską wyjechała do Wiednia i tam postanowiła zerwać ostatecznie z pracą nauczycielską. Napróżd została pielęgniarką w wojskowym szpitalu i paradowała po ulicach nadunajskiego grodu w efektownym czepeczku i z przepaską „Czerwonego Krzyża“, kokietując swoją samarytańską ofiarnością — niezgorzej zresztą płatną.

Nie wytrwała jednak długo w roli Siostry Miłosierdzia. Znalazł się bowiem lekarz bezwzględny i stanowczy, który wyznaczył pannie Frani nocne dyżury. Był to obowiązek dość uciążliwy, bo pielęgniarka obawiała się, że nieprzespane przy łózkach rannych noce odbiją się fatalnie na jej wyglądzie. Z niepokojem myślała o tem, że może stracić świeżość cery, że może zżółknąć, schudnąć, mieć sińce pod oczami.

Próbowała więc swymi zwykłymi sposobami zjednać sobie doktora i wywnązł się od spełniania niemiłego nakazu. Okazało się wszakże, że ów lekarz nieczuły jest na minki, spojrzenia i uśmiechy panny Frani.

Wypadało zatem poddać się albo usunąć ze szpitala. Na tę drugą ewentualność Grabkówna nie mogła od razu zdecydować się zarówno z powodów natury finansowej jak ze względu na pewnego bardzo przystojnego i bardzo interesującego oficera.

Ale tenże sam lekarz okazał jeszcze większą bezwzględność. Zarządził bowiem, że panna Grabkówna przejdzie z sali oficerskiej na salę żołnierską.

Tego już było przygodnej samarytance za dużo. Kazać jej obsługiwać „chamów“ i niszczyć dla nich zdrowie i urodę nocnymi dyżurami!

Panna Frania porzuciła miejsce pielęgniarki i... wniosła podanie do jednej z zapomogowych instytucyj. Wręczyła je osobiście samemu prezesowi. Był to człowiek niemłody już, ale dobrze zakonserwowany, z filuternymi ognikami w oczach...

Panna Frania nie czekała długo na pomyślną odpowiedź. Czekala krócej, niż wiele, wiele innych osób i zasiłek otrzymała w takiej wysokości, że mogła jakiś czas przeżyć bez troski.

A gdy się ta sumka wyczerpała, znalazło się inne stowarzyszenie, którego sekretarz był dobrym znajomym panny Grabkówny.

Kilka miesięcy jeszcze przepędziła w tem wielkiem, obcym mieście. Nie schudła, nie zmierzniała, przeciwnie utyla nawet trochę i wyładniała.

Na jej pełnej, okragłej, rumieńcami kwitnącej, obłoczkiem pudru przesłoniętej twarzy trudno było doszukać się jakichkolwiek śladów przygnębienia, zwłaszcza kiedy w wesołym, najczęściej męskim towarzystwie bawiła się w kawiarni, w teatrze lub w kinie.

Przywiezioną z kraju garderobę uzupełniały nowiutkie, szykowne wiedeńskie bluzki i modne, świeżo kupione kapelusze...

Obojętnie przebiegała wzrokiem artykuły gazet, opowiadające o niedoli mas uchodźczych, z uśmiechem politowania spoglądała na szeregi kobiet bladych, skłopotanych, wyniszczonych tęsknotą, niepokojem i walką o chleb powszedni, walką tak ciężką w anormalnych warunkach na bruku obcego, niegościnnego miasta.

— Trzeba sobie umieć radzić — powtarzała panna Frania i kokieteryjnie wysuwała zgrabną nogę, obutą w elegancki bucik.

Ona umiała sobie radzić...

Gdy fala uchodźcza odpłynęła do kraju, powróciła i Grabkówna, bo już nie było co robić w Wiedniu... Ale pracy nauczycielskiej dała stanowczo za wygraną.

— Dość już tego dukania nad bębnami — zdecydowała — niech sobie tam inne psują nad niemi płuća.

Postarała się o posadę w Towarzystwie Ubezpieczeń, kombinując chytrze, że roboty będzie miała niewiele a dużo kolegów.

Po upływie kilku miesięcy wszakże przeniosła się do „Centrali“ tak, jak to oznajmiła pannie Ożarskiej.

— Wiesz, że to znowu nie tak dużo ci płacą — zauważyła Julia — ja niewiele mniej zarabiam, a jednak ledwie mogę związać koniec z końcem.

Grabkówna roześmiała się znowu i potrząsnęła głową, aż zachwiały się wysokie, czerwone kokardy na jej kapeluszu.

— To ty, naiwna istoto, myślisz, że ja się utrzymuję tylko z tej pensji?!

— No, a tylko jak?... Przecież twoja mama...

— Któż tam znowu mówi o mamie!... Mama przy tych swoich stołownikach ledwie że sama ma co zjeść!...

— A zatem?... — panna Ożarska spojrzała na Franię pytająco i trochę podejrzliwie.

— O! nic tak znów nadzwyczajnego!... Po prostu jestem ofiarą wojny i staram się, żeby mi za to dobrze zapłacono!...

— Jaki?!

„Ofiara wojny“ potknęła jeszcze jedną pomadkę i oblizując purpurowe wargi wyjaśniła:

— No, są przecież różne zasiłki, zapomogi, subwencje, pożyczki bezterminowe... I ty, żebyś nie była takim ciepłym piwem, mogłabyś coś dostać... Tylko oczywiście za wszystkim trzeba umieć chodzić!...

— Bucików w każdym razie nie zniszczyłaś przy tem chodzeniu...

Frania z uśmiechem spojrzała na swoje obuwy.

— Ba! o to właśnie chodzi!...

— I czy tylko inne ofiary wojny, bardziej poszkodowane, nie cierpią na tem?... — rzuciła nagle dość ostrym tonem, poirytowana temi przechwałkami Wanda. Przypomniała sobie, jak to jej przeciążony pracą ojciec czeka nadaremnie od kilku miesięcy na należyty mu dodatek drożyzniowy.

Grabkówna wzruszyła ramionami.

— A mnie co do tego? Niech każdy myśli o sobie...

Panna Borowicka miała znowu na ustach jakąś cierpką uwagę, ale przemilczała, aby nie wprowadzić gospodyni w kłopotliwą sytuację. Nie mając jednak ochoty słuchać dalej, szepnęła do Rózi:

— Pójdziemy już...

Podniosły się obie i zaczęły żegnać.

Grabkówna krytycznem spojrzeniem objęła sweater i czapeczkę Wandy. Kiedy zaś przyjaciółki znalazły się już za drzwiami rzekła:

— Przystojna ta Borowicka, ale nędznie ubrana i nie ma szyku... Ta żydóweczka szykowniejsza od niej...

Wanda tymczasem sarknęła gniewnie:

— Głowa mnie rozboleła od tej paplania i tego bezmyślnego śmiechu!...

I z większą jeszcze trytacyą dorzuciła:

— Ach, takie panny Franie... takie panny Franie!...

Rózia i Wanda o mało co nie spóźniły się do teatru. Kiedy przyszły, na widowni panowała już ciemność. Zaledwie zdołały zająć swoje miejsca, gdy podniesiono kurtynę i za sceną ozwał się śpiew konfederatów barskich.

Stara pieśń, przetrawestowana przez poetę, chwytła za serce:

„Nigdy z królami nie będziem w aliansach  
Ni przed przemocą nie ugniemy szyi,  
Bo u Chrystusa my na ordynansach  
Słudzy Maryi...“

W skupieniu wysłuchały pierwszego aktu „Księdza Marka“. Postać natchnionego karmelity, odtworzona przez utalentowanego aktora, wywierała głębokie wrażenie, a dzika namietność Judyty miała w sobie coś z pędu wichrowego, rozpalającego krew.

Już rozbłysły znowu światła elektryczne, już aktorzy kłaniając się dziękowali publiczności za oklaski, już przez widownię szedł szmer rozmów, kiedy one jeszcze miały przed oczyma wizję rycerzy barskich, idących w bój z wrogiem „na święte kraju werbowanie“.

Po chwili dopiero zaczęły się rozglądać wokół.

Galerya była zapełniona szczerze, do ostatniego miejsca. Przeważały twarze młode, inteligentne. Za to na dole, zwłaszcza w pierwszych rzędach przeświecały puste krzesła. Widniało też kilka niezajętych łóż.

(Ciąg dalszy nastąpi).